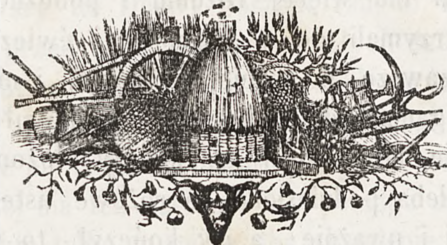
Tom V.

Nr. 3.

21. Lipca.

1861.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Jan z Dukli.

W miasteczku Dukli mieszkało dwoje pobożnych ludzi. Ojciec był rzemieślnikiem i rękami zarabiał na życie: od niedzieli do niedzieli pracował, najraniej wstawał a ostatni legał, nigdy na grosz nikogo nie oszukał, a robotę na czas, jak obiecał, to pewnie dostawił, że tam ani godziny nie chybło. Był on przytem najstarszym bratem rożańcowym w kościele — a jako pobożnego znała go cała okolica; zaś matka, jak on nabożna, o dzieci dbała, pracowita i trzeźwa kobieta, należała także do bractwa w kościele.

Owóż tym dobrym ludziom dał pan Jezus kilkoro dziatek, i te chowali pobożnie, aby z nich była pociecha dla Boga i dla ludzi, bo tak sobie mówili:

— Choć tam nie ma w domu ani pieniędzy ani majątku, to przecież najlepsze wiano dla dzieci, kiedy choć biedne, wychowają się w pobożności, a potem czczą Boga, ludziom nic złego nie robią, a dobrego co można.

A otóż był między temi dziećmi drobnemi jeden chłopiec, któremu było na imię Jaś. Osobliwe to było dziecko! Prawda, że pan Jezus dał mu więcej rozumu i pobożności od innych, ale i rodzice trzymali go w karności i ćwiczyli w cnotach. Więc też Jaś zawsze do paciorka klękał, i nikt go tam nie potrzebował naganiać do tego, a jak mówił „Ojcze nasz“ to rączki ślicznie na piersi w krzyż były złożone, główka prosto, oczka do nieba podniesione, a różowe usteczka odmawiały wszystko powoli i uważnie; a jak kończył, to widać było łzy na twarzy maleństwa jak dwie kropelki rosy na kwiateczku. Potem się nachylił ku ziemi, pochwalił najświętszy Sakrament, ucałował ziemię, przeżegnał się i wstał. Tak go nauczyła matka i tak widział, jak ojciec robił. Biegł potem do kościoła i klękał przed obrazem Najświętszej Panny i modlił się, dopóki ksiądz na mszę nie przyszedł, a potem odsłużył do mszy i późno wracał do domu z modlitwy. To też ludzie gadali ojcu i matce:

— Wy będziecie mieli z tego dziecka pociechę; widać, że ono stworzone na księdza albo na coś większego.

A rodzice brali sobie to do serca i zaczęli Jasia posyłać do szkoły dukielskiej. Jaś się uczył najlepiej, był od wszystkich lubiony, a dzieci przepadały za nim: bo to i pokazał na książce drugim, i przepowiedział kilka razy, a co miał w ręce czy śniadanie czy co, to rozdawał wszystkim, a sam nie raz ani pokosztował. Jak dostał groszyk od księdza proboszcza, to dał biedniejszemu na papier, albo na ołówek, a nieraz bywało chowa do kieszeni tę bułkę, co mu matka dała, i jak zobaczy dziadka, to cicho podejdzie i wetknie mu ją do ręki aby mało kto widział.

Owóż ten Jaś maleńki, skoro podrósł, to poszedł do Krakowa, a tam mieszkał król polski Jagiełło co ze żoną swą Jadwigą wystawił szkoły najwyższe. Dobry znajdzie wszędzie ludzi i miejsce; więc i Jaś znalazł tam w tej szkole co mu było potrzeba, i znali go tam ludzie z jego pobożności i dobrego życia. A skoro już w Krakowie kilka lat przebył, jakoś mu się żal zrobiło za swoim domem, a zresztą chciał swoim rodakom dać dobry przykład i naukę z siebie, i powrócił do Dukli, choć pamiętał dobrze słowa pana Jezusa: *Kto nie opuści domu, ojca, matki, brata i siostry dla mnie, nie jest mię go-*

dzien. Otóż dla niego był pan Jezus nad wszystko, a dusza więcej mu znaczyła nad świat cały.

Przyszedłszy do Dukli, poszedł Jan do niedalekiego lasu, aby nie mieć przed sobą pokusy od złych ludzi, i więcej mieć czasu do modlitwy; poszedł, i tam sobie wynalazł skałę, a na tej skale miał kapliczkę i przebył tam długi czas jako święty pustelnik. Aleć po niejakim czasie pomyślał sobie Jan:

— Więcej ma ten zasługi, kto pomaga drugim do zbawienia, niż ten, kto tylko o swoje dba zbawienie. W pustyni można tylko dla swej duszy pracować, a w klasztorze i między ludźmi na parafii można drugim do zbawienia pomagać to naukami, to przykładami i różnym sposobem.

Więc też pomyślawszy tak, udał się Jan do Lwowa, i był tam w klasztorze Franciszkańskim; potem poszedł do Bernardynów, gdzie jako przełożony zakonników wiódł życie bez grzechu, a pobożne i sprawiedliwe. Był on nauczycielem ludu, był doradzcą i ojcem dla rodaków, był litośnym dla biednych, a w klasztorze żywiły się gromady ludu biednego. A przyszło do modlitwy, to modlił się najwięcej po nocach przy lampie, przed obrazem Najświętszej Panny, a w dzień to odwidzał szpitale, to spowiadał, to mówił kazania i naprawiał grzeszników. Miał też tę śliczną cnotę, że nigdy na nikogo nic złego nie mówił, wszystkim wierzył, a bywało, powiada:

— Kto drugim nie wierzy, sam wiary nie wart; patrz najpierwiej na siebie samego, a nie będziesz miał czasu wytykać co na drugich; w twem oku nie widzisz belka, a w cudzem ujrzysz paździorek. —

Choć był przełożonym w klasztorze, to sam najpierwszy wszystko robił, a co mógł sam zrobić, nigdy nie odkładał do jutra ani nie zwalał na drugich. I owo Jana święte życie tak było głośne w całej Polsce, że ludzie szli do niego od Krakowa, a sam Król Polski Kazimierz Jagiellończyk cieszył się, że było naonczas w Polsce tylu świątobliwych ludzi, boć to wtedy żył także i św. Kazimierz królewicz w Krakowie, zjechał też do Polski św. Jan Kapistran. Więc byli ci trzej święci mężowie jakoby lilja niebieska o potrójnym kwiecie, ludziom na przykład i naukę od Boga posłana.

O życiu Jana z Dukli dowiedział się aż Ojciec św. w Rzymie. A biedni rodzice dożyli tego, że syn ich choć ze stanu mieszczańskiego, był księdzem, i to tak dobrym, że później świętym i patronem polskim był mianowany.

Ten nasz święty urodzony w roku 1419 w Dukli za króla Władysława Jagiełły, żył lat siedemdziesiąt i umarł dopiero za króla Kazimierza Jagiellończyka we Lwowie, kędy też ciało jego leży, a koło Dukli stoi kapliczka w lesie na skale, gdzie przebywał jako pustelnik. Dzień temu świętemu przeznaczony, jest siódmy dzień Lipca każdego roku.

Módl się za nami św. Janie z Dukli, uproś nam poprawę życia, zgodę i miłość i lepsze czasy, a po śmierci niebo.

Pieśń o św. Janie z Dukli.

(*Na nutę jak: „Do Ciebie Panie"*).

Błogosławiona Polaków kraino,
Tyś nam wydała dużo świętych synów!
Bóg cię obdarzył łaskami wielkiemi,
Byś przodowała w świętości na ziemi,
Byś jako gwiazda w kościele świeciła,
I wszystkim ludziom dobrą matką była!
Najlepiej w Polsce był Pan Jezus czczony,
Gdy królowali Piasty, Jagiellony:
Wtedy pobożne były wsie z miastami,
Chłopi, mieszczanie słynęli cnotami,
Wtedy i Dukla wydała świętego
Patrona Polski, Jana Dukielskiego.
Rodzice jego nie króle, ni pany,
Lecz rzemieślnicy i proste mieszczany;
Ich imię słynie nie z rodu lub złota,
Lecz z poczciwego polskiego żywota.
Janie Dukielski, naszej ziemie perło,
Ty zdobisz bardzo Jagiellonów berło!
Musi być święta ta Polska Korona,
Gdy nam i Ciebie dała za patrona.
Od dobrych ojców miałeś dobre rady,
Zdrowe nauki i święte przykłady,

Bóg Cię prowadził cichemi drogami,
Aż Cię umieścił między kapłanami.
Byłeś we Lwowie zakonnikiem wiernym,
Nauczycielem, ojcem miłosiernym,
Wszystkie twe siły użyłeś do tego,
Aby prowadzić chłopków do dobrego.
Serce twe było święte, nieskalane,
Szczere, niewinne, dla wszystkich wylane,
A życie całe jaśniało czynami
Jak to słoneczko, co świeci nad nami.
Ciało twe leży we Lwowie w kościele,
Tam polskich kmieci idzie bardzo wiele
Z skruszonem sercem i prośbą do Ciebie,
Byś nam dopomógł w tak ciężkiej potrzebie.
O nasz patronie, ty synu ludowy,
Zdejm z kości naszych te ciężkie okowy!
Uproś nam szczęście, z Bogiem królowanie,
O nasz patronie, o Dukielski Janie! —
Amen.

Ułożył: ksiądz Wojciech z Medyki.

Sąd na Żyda mielnika, a wyrok Boży na starostę.

Było to w małem miasteczku Uściu solnem, gdzie wpada rzeka Raba do Wisły. Od tego też *ujścia* rzeki zowie się miasteczko, a solne ztąd, że w niem istniały składy Bocheńskiej soli, którą tu na galary ładowano i Wisłą het, het w dalekie okolice spławiano. Lat temu sto blisko, jeszcze za rządów polskich, za ostatniego a nieszczęsnego króla *Stanisława Augusta Poniatowskiego*, Uście solne, licha dzisiaj mieścina, było miastem obwodowem, a jako mieszkanie starosty, licznie zamieszkałe i bogate. Mieszczanie, wolni obywatele i posiadacze gruntów, uprawiali jak dzisiaj rolę, inni trudnili się handlem: bo też położenie samo miasteczka nad spławną rzeką ułatwia wielce wywóz i odstawę towaru. Toć też od dawna spławiali mieszczanie na galarach aż do Warszawy różne jarzyny, ogrodowiny, szczególnie zaś cebulę; a i dziś jeszcze dobrze spieniężają w Warszawie, gdy jaj kurzych na sprzedaż dostawią.

W tem tedy miasteczku za dawnych jak mówią czasów mieszkał pan bogaty, właściciel wielu okolicznych włości, a nazywano go starostą, bo on był oraz wysokim urzędnikiem i miał się starać, aby w tych stronach wszystko w porządku się odbywało. Ale pan starosta baczył tylko na siebie, i żył ludzką krzywdą; na swoim dworze utrzymywał pachołków, a ci stróżowali swego pana, lecz zato obdzierali i ludzi co nie miara. Żle to było bardzo, ale działo się też w czasach, kiedy nieprzyjaciele nasi, szczególnie Moskale, nie dali nam u nas we własnym domu żadnego porządku zaprowadzić, i owszem podburzali brata na brata, wichrzyli gdzie mogli, i najgorszych ludzi wspierali, aby takim sposobem cały kraj w nieładzie będący pod swoje panowanie zagarnąć. I tak ci też zrobili! Oj z piekła rodem te Moskaliska! Dobrzy nasi obywatele radzili jak mogli, by niezgodzie i nieporządkowi zapobiedz, aleć Moskale wszystko, co nas na nogi postawić miało, odrzucali, wszystkich prawych i poczciwych ludzi, ba nawet biskupów samych precz na Sybir w lodowate kraje wywozili i wyganiali, a z takimi jak nasz pan starosta, ściśle się zaprzyjaźniali. To też nie dziwota, że kraj nasz upadał coraz bardziej, a nasz starosta gnębił i gnębił, darł biedne ludziska choćby z ostatniego grosza, a nie bał się nikogo, bo Moskali miał za sobą.

Byłoć raz, że wystawił na rzece Rabie młyn wielki, i wypuścił ten młyn żydowi w dzierzawę. Żyd jak żyd, nie musiał być nic dobrego, bo ta i żyd jeźli poczciwy, nie wdawał by się w żadne sprawy z tak niegodziwym panem; aleć żydzisko szukało widać tylko zysku, choćby niewiem z jaką krzywdą ludzką połączonego.

Mało było staroście, że sam ciemiężył: nasłał mieszczanom jeszcze niepotem dzierżawcę, żyda. Żyda był panu dogodny: nadskakiwał zachceniom pańskim, a płacił regularnie czynsz dzierżawny, na jakiby się nikt zresztą zobowiązać nie chciał: to też postanowił sobie przynajmniej dwakroć tyle na mieszczanach wynagrodzić: kazał sobie dużo płacić od mlewa, żądał miarki mąki od każdego zmielonego. korca, i co mógł wydziwiał, jak gdyby jaką straszną łaskę robił temu, kto do niego do młyna posyłał. Nic też dziwnego, że każdy wolał raczej

jako tako zgnieść ziarno na domowych żarnach, i grubemi śniademi pożywić się kluskami, niż posyłać do mlewa obrzydliwemu żydowi. Tak więc niezawodnie skapałby był żyd z kretesem, lecz wolał się udać do niegodziwych sposobów. Otóż Mundek (tak bowiem zwało się to żydzisko, którego mieszczanie mówiąc grzecznie, panem Mundziem nazywali) zwąchał się z pachołkami starosty, napadał z nimi domy mieszczańskie, i tam dopiero zabierali żarna, tłukli, a kamienie ze żarn topili w pobliskiej kałuży, mówiąc ze złością, że dobry pan na to młyn wystawił, aby mieszczanie piękny chleb jadali, a kiedy oni się na dobroci pańskiej nie rozumieją, to ich przymusić wypada, żeby słuchali swego opiekuna i dobrodzieja. Taki ucisk dochodził do ostateczności. Skarzylić się ludzie do starosty, ale żyd tak tam pana jakoś przekonał, oczerniając najpoczciwszych mieszczan, że pan, co sobie i tak nie wiele robił z krzywdy ludzkiej, kilku z miasta przytrzymać i obić kazał. Serce pękało na taką niesprawiedliwość, ale darmo! biedni musieli znosić ziarno do młyna, bo starosta powyznaczał nawet, jak dużo ziarna każdy mieszczanin mleć powinien. Oj ciężkoć przychodziło jeść chleb biały! ale trudno! nosili ziarno do młyna, choć go ni połowy ztamtąd nie odbierali. A tu Mundek wydziwia, bo na każde zawołanie ma pachołków pańskich. Mieszczanie cierpieli jak mogli, aleć w końcu i cierpliwości zabrakło przy takim ucisku.

Raz wyjechał był pan, a z nim jego niegodziwa służba. Pojechał Bóg wie gdzie, zapewne zaprzyjaźniać się na nowo z Moskalami, by można i dalej krzywdzić i zdzierać poczciwych ludzi. Więc w niebytności pana nuż się mieszczanie zmawiać, aby żyda ukarać przykładnie. Schodzą się wszyscy do ratusza miejskiego; wszyscy, ba nawet kobiety i dzieci, składają się po groszu, kupują kilka łokci płótna, i szyją wielki worek, ale tak, że każdy po kolei jeden ścieg zrobił, aby w razie odpowiedzialności wina na wszystkich ciążyła. Potem wszyscy jak byli, poszli do pana młynarza i pakują jegomości do wora, dodając kamieni. A tak ich jakoś dziwnie bieda i złość ku mielnikowi oślepiła, że zgoła nie wiedzieli do jakiej zbrodni się zabierają. Było to w młynie; nic też naturalniejszego, jak że w bliskiej Rabie miał żyd zakończyć nieuczciwe życie. I tak

się też stało. Pchnięty wyładowany worek potoczył się ku wodzie, zabulkotało tylko, i wnet kamienie wciągnęły go aż na samo dno rzeki! — Cała ta straszna sprawa odbyła się w jednej chwili; milczące tłumy robiły jak jeden człowiek, a tak wszyscy byli rozjątrzeni na nieuczciwego żyda, że i słowa nie pozwolili mu wypowiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Pewno, że wzdryga się myśl ludzka na tak straszną karę, aleć nie wiedzieć wreszcie jak tu osądzić całą sprawę. Mieszczanie zawinili bardzo, bo nie mieli prawa robić sobie samym sprawiedliwość; powinni byli przecież udać się albo do jakiego wysokiego sądu na skargę, albo do księdza plebana, i jemu opowiedzieć, co się to dzieją za krzywdy w mieście; tylko, że to w chwili niebytności samego gnębiciela nie było czasu pomyśleć o tem — więc osądzili bez namysłu mielnika, i zaraz zapamiętalcy wykonali karę. Oj! drzelić też, drzeli na wspomnienie, że starosta wcześniej czy później dowie się o ich postępku. Zdawało się, że sąd Boży zbliża się na biedne ludziska! A tu jeszcze dopowiadają, że jeden z pozostałych we dworze drabów przeleciał na koniu jak strzała gdzieś pewno donieść staroście, co się stało że żydem; inni mówili, że starosta co tylko nie powróci, bo nie pojechał daleko.

Straszne myśli snuły się po głowach mieszczan. Niektórzy więcej tchórzliwi, już najprzód myśleli się wynieść z miasta, a kilku się nawet wyniesło, zostawiając żonę i dzieci na pastwę zemsty; inni postanowili bądź co bądź czekać woli Bożej i Jego sądów. Już przyjechało naprzód kilku pachołków starosty. Straszne rzeczy, bo starosta już się zbliżał do granic miasteczka. Sądy Boże! co tam naprzód lamentu a strachu, to ani pojąć temu, kto tego nie widział. A tu pachołkowie, co ta jeszcze Boga w sercu mieli, sami skruszeni rozmawiają z ludźmi i straszą, jaki to tam rozżarty starosta, jak on się mścić będzie! No! już głowy nie stało biednym mieszczanom.

— Dziej się wola Twoja Panie, niechże nas wszystkich wytopić każe! mówią jedni.

— Tego by sam nie zrobił starosta, bo któżby pozostał w mieścinie; zresztą i na niego by się w końcu znalazła sprawiedliwość. — Nie ma na to trybunałów — mówili inni. — Aleć

doprawdy woleliby byli ludziska raz zakończyć życie, niż żyć w takim ucisku i nędzy.

— Straszne rzeczy! co się to tu stanie z naszą mieściną?

— Ja ta przy tem nie był — rzekł jeden.

— Niebyliście panie Józefie? — Przecież ja po was zrobiłem ścieg igłą.

— Alem nie był przy Rabie.

— A tośmy też wszyscy byli przy Rabie — mówił pan Jan — toć moja was widziała panie Józefie, jakeście nogą popychali żyda do wody.

Zarumienił się pan Józef, i nic nie rzekł. Józef należał do ludzi, co udają zuchów, gdzie niema niebezpieczeństwa, a tchórza gdzie strach, i winę na innych zwalają; lecz wnet poznał pan Józef, że mu się tą razą nie uda.

Tak rozmawiało kilku mieszczan cicho i urywkami, obawiając się, aby zaś szeleszczący wietrzyk nie doniósł ich słów do uszu starosty. Długo, długo radzili, wreszcie się zgodzono, aby każdy zapytany szczerą prawdę powiedział i na siebię winę przyjął, choćby mu się niewiem co za to dziać miało.

Rozmawiają jeszcze, a tu leci jakiś parobek z Nadwiśla, leci z krzykiem ze żalu czy z radości, a woła z daleka:

— Słuchajcie, kulony! słuchajcie: Starosta.... I nie może parobek mówić ze zmęczenia.

Przepuścili mu tą razą mieszczanie, że ich kulonami nazywał, a pytają na pół z strachem, a na pół z ciekawości:

— Co? co starosta?

— Nieżyje!... zaledwo wymówił chłopek.

— Co? nieżyje? — razem wykrzykli.

W jednej chwili wielka gromada ludu jak-by wyrosła ze ziemi, a parobek nuż im opowiadać:

— Kark skręcił, nogi połamał, na Macicynie; wieżą go nieżywego. W złości klął na woźnicę, przeklinał Ujszczanów. Spali, mówił, całe miasto, zniszczy wszystko na czem świat stoi — w tem wyskakuje, padł, wywrócił się z góry, i wyzionął czarnego ducha. —

Wszyscy osłupieli na taką mowę, stanęli jak-by piorunem rażeni, patrząc jeden na drugiego. Nie rozmawiali nic więcej,

rozeszli się po chwili, milcząc, bo każdy widział w całem zdarzeniu słuszne a straszne wyroki Nieba.

Niezadługo przywieziono martwe ciało starosty, a w tym samym czasie wydobyli żydzi trupa utopionego młynarza. Żydzi powieźli swego do Wiśnicza, a czereda pachołków porwała ciało starosty precz, czart wie w które strony. Ni żony ni dzieci nie miał ten pan niegodziwy, bogacz a sam jeden, bo Pan Bóg tylko bogobojnym i zacnym pozwala używać szczęścia w kole rodziny; przecie choć samemu, mało mu było licznej posiadłości, bo obdzierał ludzi z grosza, by tylko nowe i coraz inne wyprawiać zbytki. Więc Bóg osądził już niedobrego pana i wymierzył nań zasłużoną karę; lecz inaczej było ze żydem. Tego osądzili ludzie i ludzie ukarali; toż przyszło im niezadługo odpowiadać za swoje czynności. Żydzi zaskarżyli mieszczan i aby tem prędzej sprawiedliwość znaleźć, udali się ze swą skargą wprost do króla do Warszawy. A jak się ta sprawa dalej potoczyła, opowiem wam za drugą razą.

Piękne przykłady.

Czytelnia w Myślenicach.

Trafiło mi się już nieraz, żem słyszał podeszłych gospodarzy, jak narzekali że czytać nie umieją, żeby się radzi dowiedzieć z druków o tem i owem, a tu skoro przyjdzie spoglądnąć na książkę, to jak na jakie dziwo. Ha, i mielić słuszność owi gospodarze, bo to musi być bardzo przykro, kiedy człowiek patrzy na drugiego, a on sobie czyta różne dziwne i śliczne rzeczy, zaś samemu ani rusz poznać choćby jednej kreski! Przekonało więc to już wielu ludzi, że choć-eś prostym człekiem od roli, to ci zawsze umieć na książce się godzi, a potrafić też napisać co na papierku także nie zawadzi. Nie zabije cię ta nauka; ot, za młodych lat rok i dwa w szkole, a juści rzecz skończona, jest wygoda i przyjemność na całe życie. Więcej też teraz jak poprzód wysyłając dzieci do szkoły, i coraz bar-

dziej ludzie po wsiach zabawiają się czytaniem, kiedy chwila wolna, z czego i pożytek dla nich nie mały, i uciecha panu Jezusowi, kiedy widzi, że zamiast grzeszyć, pić i puszczać się na psie figle, jedno i drugie święto przykładnie przepędzą.

Bywa atoli czasem, że człowiek umie czytać i ma w domu książkę do nabożeństwa i opisanie męki Chrystusa Pana, a przeczytał już to sobie nie raz i nie dwa razy, i radby w wolnej chwili i w inną zaglądnąć książeczkę, a tu rozstąp się ziemio, nie znajdziesz. Pożyczy ci tam wprawdzie nieraz Dobrodziej z plebanji, albo kto we dworze, aleć czasem i oni stósownych książek do czytania dla prostego człeka nie mają, albo już i im niestarczy, więc błąkasz się i chodzisz, i nie wiesz jak sobie zaradzić.

Owóż tak samo było i w miasteczku Myślenicach w Wadowickim obwodzie. Dużo tam ludzi umie czytać, a nie łatwo było znajść gdzie jaką książkę; więc natchnieniem Bożem pani *Ludwika Leśniowska*, co tam w Myślenicach mieszka, pomyślała sobie:

— Hej, miły Boże, żeby to można gdzie zebrać całą szafę książek, i rozpożyczać ludkowi do czytania, toby to ztąd wielki był pożytek i chwała Boża.

I myślała dalej ta dobra Pani o tem, jakto często pan Bóg najsłabszym ludziom w uczciwej błogosławi rzeczy, że tak ni ztąd ni zowąd samo się zkądś weźmie, i jakby kwiatek z ziemi wyrośnie. Więc mówiła sobie dalej:

— Nie mam ja ci prawda wielkich majątków, nie mam też i sił tak dużo jak inni ludzie, ale mam dobrą wolę co mi ją pan Jezus natchnął, więc spróbuję czy sama trochę książek dla ludzi zebrać nie potrafię. Prości i pokorni byli apostołowie Pańscy, a przecież roznieśli naszą wiarę świętą po całej ziemi, bo mieli moc Bożą po sobie; więc i mnie słabej może Pan Bóg w uczciwej myśli poszczęści.

Jakoż przeżegnała się ta pani Ludwika, i nuż rozpisywać po ludziach z prośbami, żeby jej książek co kto może nadsyłali, a nie żadnych niemieckich zagranicznych, ale takich coby były po swojemu zrozumiale pisane, a z pożytkiem i zabawą dla wiejskich i miejskich ludzi. I tak rozpisawszy to, czekała

pani Leśniowska spokojnie co pan Bóg nadarzy. A owóż poszczęścił jej pan Jezus w tem dobrem przedsięwzięciu, bo wnet zaczęli różni dobrzy ludzie nasyłać po kilka i kilkanaście książek, a dobra pani z wielką uciechą zaczęła to układać w szafkę, i nuż rozpowiadać znajomym, że ma dla nich siła rzeczy do czytania, żeby sobie przychodzili do niej, jak który zapragnie.

Jakoż z największą chęcią zaczęli się zbiegać różni ciekawi, to gospodarze wiejscy i dziewczęta, to ze samego miasteczka, wreszcie małe studenty ze szkoły, żeby tylko coś ładnego do czytania dostać. Pani Ludwika z największą chęcią pożyczała książki to temu to owemu, a prosiła tylko żeby odnosić jak już kto przeczyta, bo drugiemu trzeba ją będzie dać gdy zażąda. I za całą tę życzliwą uczynność nie żądała dobra Pani chyba „Bóg zapłać“ w nagrodę.

Owóż jak się to w imię Boże rozpoczęło, tak się już do dziś dnia trzyma. Zrazu zaczął tam urząd się mieszać, bo myślał że w tem co złego; aleć skoro zobaczył, że to rzecz niewinna, i owszem do podniesienia i pożytku ludzkiego urządzona, więc nie tylko że nic nie mówi, ale owszem dla aresztantów książki od owej Pani pożycza, żeby i ci biedacy nabożnem czytaniem pana Boga za swe grzechy przepraszali, do uczciwego żywota się wprawiając. Jak po wodę do dobrej studni, schodzą się dziś do Myślenic różni ludzie, czy gospodarze czy wójcia, i biorą od tej pani i błogosławią jej bogobojne chęci. Co najwięcej, zatrudnia się tem od początku gospodarz z Polanki imieniem *Józef Pasternak*. Ten to pobożny i uczciwy człowiek chodzi i przynosi książki, i czyta ludziom w niedzielę po nieszporach, a ludzie się różnym ciekawym i ładnym rzeczom ledwo nadziwić mogą.

— Mój Boże — pomyślałem ja sobie w duszy, skoro mię gadka o tem wszystkiem aż tu do Lwowa doszła — żeby to tak nie tylko w jednem miejscu, ale choć co pięć mil jedna szafka z książkami u kogo była, czyto przy szkółce, czy przy kościele albo też przy dworze, ileż by to ludzie dobrego i ładnego duchem nauczyć się mogli; ileż by to, jak przyjdzie święto, ślicznej zabawy i uciechy było, jak długi dzionek Boży! Dziś jak przyjdzie dzień Bogu poświęcony, to cóż gospodarz najczęściej robi? Oto nie

pracując ani w polu ni w domu, idzie do karczmy na zabawę, a tam od niedzieli do niedzieli zawsze jedno; to choć najlepszego, ów czart skusi, co mu nawet rogów z kieliszka nie widno. Mój Boże, żeby to tak było, niejednej plotce nie wierzyli by ludzie, a wiedzieli sami ze siebie, jak tam co gdzie w świecie pan Jezus postanowił, i nie byłoby oszukaństwa, bo by się każdy łatwiej na niem poznał.

Da Bóg łaskawy, może tak kiedyś będzie, tymczasem dziękujmy Mu, że już od początku natchnął ową dobrą panią Leśniowską, za co niech i jej tu będzie podziękowanie.

Grześ z Mogiły.

O małżeństwie, słów kilka.

Bywa to często między ludźmi, że sobie za nic mają żeniaczkę; ot tak, byle sobie dogodzić i pohulać na własnem weselu. Nie patrzą oni na to, że często po trzech dniach wesela następuje całe życie biedy; nie dbają o to, że małżeństwo jest świętym i ważnym sakramentem, od samego pana Jezusa naznaczonym.

W piśmie świętem stoi napisane: *Małżeństwo wielki sakrament jest, lecz ja mówię: w Chrystusie i w kościele.* Cóż znaczą te słowa pisma św.? — oto że małżeństwo jest takiem połączeniem, jakoby Chrystusa z Kościołem. Jak Jezus Chrystus kościół kocha, strzeże i do wiecznego żywota prowadzi, tak też czynić ma mąż względem żony. A jak kościół uznaje Chrystusa za głowę, i kocha go i czci, taka też ma być żona względem męża. Jako Chrystus na wieki wierny zostanie Kościołowi, a Kościół Chrystusowi, tak też wiernemi aż do śmierci mają być dla siebie mąż i żona. Oboje mają być nierozłączeni w jednej wierze i miłości, i życiu cnotliwem; wspólnie mają pracować, jedno dla drugiego się starać, jedno drugie poważać i poprawiać, wspólnie się cieszyć i wspólnie się smucić aż do śmierci. Przy ślubie kładzie ksiądz obrączki na palce pana młodego i młodej panny na ten znak, aby jak ta obrączka nigdzie się nie kończy, ich miłość i wierność nigdy się też nie kończyła. Więc też śmierć jedna może małżeństwo rozłączyć.

Widno z tego że para małżeńska, jeżeli ma być wedle woli Chrystusa Pana i kościoła, musi być cnotliwa, miłości pełna, wierna, zgodna, pracowita i o swe dzieci dbała. Jeżeli jednej tylko z tych cnót brakuje, to już małżeńska para popełnia grzech przeciwko najświętszemu Sakramentowi.

A jakże trzeba sobie postępować, aby w niczem małżeństwu nie uchybić? Owóż najwięcej trzeba pamiętać o tem, aby tak ojcowie jak i państwo młodzi dobrze się poznali, na wszystko się oglądnęli i wszystko dokładnie rozważyli, zaczem skojarzą małżeństwo.

Parobek zabierający się do stanu małżeńskiego, powinien mieć najmniej lat około 24; powinien być stateczny i cnotliwy, zaradny i pracowity. Dlatego żenić się nie może kaleka i chorowity, ani zgrzybiały starzec. Parobek taki ma umieć składnie orać, młócić, kosą w żniwa siec, konie do woza zaprządz, pług sobie przyrządzić, kiedy się co zepsuje naprawić; powinien znać się na roli, na uprawie, na siewie, sprzęcie, chudobie i na innych rzeczach rolniczych. Powinien sobie także wysłużyć ładny przyodziewek, i co nieco grosza na zapomożenie. Tak się może żenić, a biedzie się nie da, i żona jego byle rządną była, zawsze będzie miała wsypać co do garnka. Pokorny w domu, pobożny w kościele, rączy przy pracy, wesoły i śpiewny na zabawie, obrotny między ludźmi: taki parobek niech się żeni, bo w domu jego i w rodzinie będzie szczęście i Boskie błogosławieństwo.

A dziewczyna idąca za mąż, ma być rodzicom posłuszna, matce we wszystkich pracach chętnem sercem pomocna, a porządna, zaradna i czysta; czy to w święto, czy w dzień roboczy, ma być choć ubogo lecz chędogo ubrana, a pracowita i wesoła; nad strój cnotę kochać powinna, i być wstydliwą i w bojaźni Bożej wyćwiczoną. Powinna znać się na szyciu, na lnie, przędziwie, na nabiale, na gotowaniu i na pieczeniu chleba, na praniu i na wszystkich niewieścich zatrudnieniach.

Skoro już młoda para osiędzie na swem gospodarstwie, więc tam jest mąż głową rodziny. Powinien on całą swą ro-

dzinę kochać, na jej utrzymanie pracować i od złego ją chronić. Przykazania Boskie powinien dobry mąż założyć jako fundament w sercu swojem; strzedz się ma, żeby nigdy na grzech w rodzinie swojej nie zezwolił. Przez wszystkie dni żywota swego powinien szanować starego ojca i starą matkę swoją, a nigdy im zmartwienia nie zrządzać; twarzy swej nigdy nie ma odwracać od nieszczęśliwego, kaleki i ubogiego, a czynić jałmużnę wedle majętności swojej, bo wtedy i Bóg nigdy oblicza swego od niego nie odwróci. Ktokolwiek pracuje dla niego, natychmiast mu winien oddać zapłatę. Uboższymi od siebie nigdy pogardzać nie ma, bośmy wszyscy bracia między sobą, a dzieci jednego ojca. Rady od mądrych i starszych niechaj chętnie przyjmuje. Czego by nie chciał, aby mu kto inny czynił, tego i drugim czynić nie ma.

Żona zaś jest gospodynią domu. Dobra żona, to dar Boga, mówią ludzie; a w księdze mądrości stoi zapisano: *Niewiasta dobra cieszy męża swego. Jako słońce wschodzące światu, tak niewiasta dobra na ozdobę domu jest.* Powinna więc żona w rodzinie być jako pszczółka: pilna, pracowita i rządna. Co mąż zapracuje, to żona gospodarnością i oszczędnością pomnażać ma. Jako pszczółka lata a brzęczy wesoło, miód zbiera i do ula znosi: tak żona w domu ma się krzątać a wesoło pracować, zbierać i śpiżarnię pomnażać. Jako pszczółka cudnie i czysto plastry miodu układa, tak dobra żona wdzięcznie i czysto dom urządza. Jak pszczółka oszczędza miodu, aby mieć zapas na zimę, tak dobra żona oszczędza dostatków, aby nigdy w domu niczego nie zabrakło. Jako ludzie dziwują się gospodarności w ulu żwawej pszczółki: tak się dziwić mają rządności dobrej żony w chędogiej zagrodzie.

Jeżeli Pan Bóg młodą parę dziećmi obdarzy, wtedy mają oboje strzedz drobiazgu jak źrenicy w oku. Mają oni dziecko nietylko żywić, ubierać i o jego zdrowie się starać; ale także pilnie dbać o jego wychowanie, zawczasu je od złego odzwyczajać, a do dobrego prowadzić, uczyć paciorka, posłuszeństwa dla rodziców i zachowywania przykazań Boskich.

Jeżeli para małżeńska wszystkich tych cnót gorliwie przestrzegać będzie, to jej Pan Bóg błogosławieństwa swego użyczy.

Nie zazna ona biedy ni nędzy, a w szczęśliwości żyjąc, będzie się cieszyć szacunkiem i przyjaźnią ludzką.

Grześ z Mogiły do swoich znajomych,
na ich miłe listy.

Dużo ja nieraz liścików odbieram od miłych mi znajomych i mniej znanych ludzi, a korci mię, żeby choć słówkiem odpisać, to podziękować za dobre słowo, to poradzić gdy pytają o co, to wreszcie bodaj pozdrowić serdecznego kuma, wraz z kobieciną i dziećmi. Nie stać atoli człowieka na tyle czasu i papieru, a zresztą i poczta dużo kosztuje, co także przy tych złych czasach dla mnie chudziny coś waży. Otoż, pomyślałem sobie, że to lepiej będzie drukować w tym tu Dzwoneczku od czasu do czasu bodaj słów kilka do znajomych, gdy odpowiedzieć na liścik wypadnie, a ci co i odpowiedzi odemnie wyglądają, to jeno rzucą okiem, i już̇ci się dowiedzą jak ich sprawa stoi. Będą́ to wprawdzie i inni ludzie czytać, ale my tam między sobą żadnych ciężkich tajemnic nie mamy, więc może cały świat o nich wiedzieć, bo niechwalący się jeżli co się robi, to tylko na chwałę Bożą i pożytek ludzki.

Do *P. S. z Uścia solnego, w Krakowie.* Skromniście bardzo moi mili, a ta cnota Wasza Panu Bogu wielce się podobać musi, bo zawsze więcej waży u Niego dzień lichej pracy niż tydzień krzyku i gwaru, choćby też bliźnim ku pomocy. Mogliście ano przecie napisać mi w waszym liściku jak się nazywacie, bo mi markotno, że nie wiem komu dziękować za tę ładną opowieść, której połowę tu w tym numerku wydrukowaną widzicie. Napiszcież mi więc przy sposobności Wasze miłe nazwisko, a ják zechcecie, to ja o tem nikomu nie powiem. — Waszą radę o bractwach wziąłem sobie do serca, i powiem o niej uczciwym ludziom, a może się co zrobi. Zostajcie z Bogiem!

Do *Jakóba Grygusa w Powodowej.* Nie bądźcie mi też bardzo przeciwni, żem nie wydrukował żywota św. Onufrego. Nie darmo to mówią ludzie: Jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził; tak i ja, możem Wam tam nie dogodził, choć jak mi Bóg miły, żem miał chęć przedrukować, aleć mi się za długie na mój arkuszyk wydało. Da Bóg doczekać, to ja może krótszą sprawę o św. Onufrym napiszę, a i na Waszą śpiewkę o wódce może starczy miejsca. Oddaję Was Panu Bogu, a pozdrawiam też obu Ruczajów, Markiewicza i Sitarza od serca.

Do Stanisława Pysza w Grodzisku górnem. Wybaczcie moiściewy, że Wasze opisanie Jasnej Góry jeszcze w szufladce leży. Człek by rad z duszy serca wszystko dobre i piękne w naszym „Dwonku" pomieścić, a tu czasem aż się płakać chce, taki ten arkuszyk maleńki. O Krakowie, królewskim zamku na Wawelu, macie już w Ziemi polskiej co ją właśnie opisuję, więc co w Waszem opisaniu o samym kościele stoi, toć to jakoś wyjmiemy i da Bóg podamy do druku. O Humaniu także się coś znajdzie w swoim czasie. Wosia i innych znajomych pozdrówcie. Zostajcie w Bogu i w życzliwości ku mnie.

Do Wojciecha Osowskiego z Wielowsi. Za wasze szczere życzenia do składu pięknie złożone, coście mi w liściku przysłali, serdecznie wam dziękuję; aleć drukować ich niemogę, bo by rzekli ludzie: Ot, chwali się, jak liszka swój ogon! — a ja i tak co prawda nie zasłużyłem na to. Panu Bogu Was oddaję.

Uwaga. Jeżeli by kto chciał pisać do mnie, to niech na liściku wyrazi: Do redakcyi Dzwonka we Lwowie.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.